Nr. 21. We Lwowie, Poniedziałek dnia 27. maja. 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Współczesny Teatr w Hiszpanii.

Sztuka malarska i sceniczna są jedynemi, któremi Hiszpania usiłuje podążać naprzód, na równi z innymi ucywilizowanymi narodami, podczas gdy pod każdym innym względem poprzestaje na naśladownictwie i to nie zawsze szczęśliwem swych sąsiadów. Dewiza Ludwika XIV: Niema już Pirenejów! — okazała się pod każdym względem zgubną dla iberyjskiego półwyspu, który pod względem cywilizacyi stanął na równi z każdą inną prowincyą francuzką. Dopiero wojny o niepodległość wiedzione przeciw Napoleonowi obudziły z długoletniego letargu uspioną samoistność narodową. Wówczas przypomniała sobie Hiszpania o swym teatrze narodowym, który musiano po raz wtóry odtwarzać z zupełnego zapomnienia.

Breton de los Herreros był pierwszym, który w sztuce scenicznej hiszpańskiej odważył się na stanowcze zerwanie z francuzką tradycyą. W ślad za nim poszli Ventura de la Vega i Narcizo Serra, podczas gdy Julio Romea stanął obok nich jako idealny wykonawca narodowego repertoaru. Jednakowoż z czasem okazało się, że zupełne zerwanie z tradycyą francuzkiego teatru jest wręcz niemożliwem, gdyż nawet najbardziej uzdolnieni pisarze dramatyczni na półwyspie nie mogli się oprzeć każdoczesnym prądom, panującym w teatrze nad Sekwaną.

I tak Wiktor Hugo wywołał w Hiszpanii cały szereg romantyków, między którymi znalazły się talenta tej miary co książe de Rivas, Martinez de la Rosa, Garcia Gutierez, a w pierwszym rzędzie Hartzenbusch i Zorilla, dwaj najwięksi pisarze dramatyczni, jakich Hiszpania w bieżącem stuleciu wydała. Dramat Hartzenbuscha *Kochankowie z Teruelu* posłużył Bertonowi za temat do kompozycyi operowej, która jest pierwszą próbą samodzielnej twórczości w dziedzinie poważnej muzyki.

Na rok przed Hartzenbuschem zmarł w Madrycie (w r. 1879) mniej może pomysłowy, natomiast bardziej refleksyjny i wytworny pod względem formy Adelardo Lopez Ayala. Liczne jego dramy rycerskie, schlebiające narodowym gustom, poszły już w zapomnienie. Natomiast zdobył sobie Ayala jedno z pierwszych miejsc w dziejach rozwoju sceny hiszpańskiej swymi utworami, osnutymi na tle spółczesnych stosunków. Jako bystry obserwator i znakomicie władający techniką sceniczną, zasługuje Ayala na ogólne uznanie. Jego *Procent* lub *Consuelo*, mogłyby być ozdobą każdej europejskiej sceny.

Na nieszczęście jednak Ayala nie mógł się wyłącznie poświęcić sztuce. Nędza jaką cierpiał Cervantes, nie mogła być ponętą dla młodego salonowca, który ani nie grzeszył skromnością, ani też takiem zaparciem się siebie jak Zorilla. Ten ostatni już jako starzec po długich latach nędzy doczekał się pensyjki nędznej z funduszów publicznych, w dowód wdzięczności narodu za *Juana Tenorio*. Wsparcie to jest tak szczupłe, iż rodzinne miasto poety Valladolid uznało za stosowne przyczyniać się z kasy miejskiej do rządowej pensyi, gdyż w przeciwnym razie wynagrodzony laureat, mimo spartańskiej prostoty w trybie życia, mógłby snadnie umrzeć z głodu. I tak szczupłą jałmużnę przeznaczają kortezy narodowemu poecie, podczas gdy w rocznym ich budżecie figuruje suma 37.301. franków wydawana na fraszki, jako to na papier listowy, koperty i pióra. Samych chłodników spożyli szanowni deputowani za sumę 4.354 franków, zaś mydło i woda kolońska zużyta w gotowalni kortezów, kosztowały 1.033. franków Ayala był dziwnym zbiegiem okoliczności prezydentem tych marnotrawnych kortezów. Pozostawiony zdala od spraw politycznych, byłby niezawodnie daleko więcej zdziałał jako pisarz. Na tem stanowisku jednak marnował swój talent w zupełnie niewłaściwym kierunku, a godność piastowana bardzo często zniewalała sarytyka do milczenia. Ayala mimowoli stawał się filarem i ozdobą tego stronnictwa, którem z głębi duszy zapewne pogardzał. Podobne kolizye zdarzają się nietylko na iberyjskim półwyspie...

W podobnem położeniu znalazł się też inny z pierwszorzędnych pisarzy scenicznych, Manuel Tamayo, związany z teatrem węzłami rodzinnymi od dziecka. Dramaty jego *(Szał miłosny, Szlachcianka)*, zapewniły mu w krótkim czasie popularność. Jednakowoż intrygi nieprzyjaciół zniewoliły Tamaya do rzucenia sceny i objęcia posady sekretarza akademii. Atoli żyłka pisarska przeważyła u mego wszelkie inne względy. W zimie 1880 roku na klasycznej scenie „Teatro Espagnolo" ukazał się utwor dramatyczny p. t. *Nowy dramat*, który wywołał ogólny zachwyt. Zwyczajem praktykowanym w teatrach hiszpańskich wywoływano po skończonej premierze nazwisko autora. Reżyser wymienił ze sceny nieznane nikomu nazwisko: Estebanez, które, jak się niebawem przekonano, było pseudonimem Tamaya. Odkrycie to wyszło na niekorzyść biednego autora, którego obarczono zarzutem niemoralności. Tamayo przyrzekł sobie święcie, iż za życia nie wystawi na scenie żadnego z swych utworów.

W duchu realistycznym pisze też Eugenio Sellès: Jego *Węzeł gordyjski* lub *Mścicielki*, są rękawicą rzuconą przesądom społecznym. W pierwszym z tych utworów żąda Sellès zaprowadzenia rozwodów, w drugim zaś staje w obronie żon zdradzanych przez mężów, których mściciel-

kami są kobiety z półświatka. Tak odważny ton mowy nie mógł uzyskać uznania w mieście tak rozwiązłem i świętoszkowatem zarazem, jak Madryt. Młodego autora przeniesiono w charakterze gubernatora do Grenady.

Młodym jeszcze szermierzem realistycznego kierunku jest również Leopoldo Cano, autor *Motyla* i *Glorji*, który wprawdzie nie obiera za temat swych utworów tak głębokich zagadnień społecznych jak Ayala lub Tamayo, lecz posiada wiele smaku w opracowaniu i temperamentu dramatycznego.

Wszakże po Zorilli najsilniejszy wpływ na szeroki ogół w swej ojczyźnie wywiera Jose Echegaray, jeden z nielicznych autorów hiszpańskich, których utwory ujrzały światło kinkietów na scenach zagranicznych. Działalność jego nie krępująca się zasadami utartej już rutyny pisarskiej, a zarazem obejmująca obok dramatów rycerskich, romantycznych, także realistyczne utwory społeczne, — sprawiła, iż Echegaray nie zdołał stworzyć szkoły w właściwem tego słowa znaczeniu.

Ze wspomnień Hamerlinga.

Niewielu może wiadomo, że znakomity spiewak „Łabędziej pieśni romantyzmu“, autor „Ahasvera“ i „Homunculusa“,—że Robert Hammerling zetknął się był kilkakrotnie z Polakami, a choć pozostało to bez wpływu na utwory poety, zajmującą dla nas jest rzeczą poznać odośne epizody jego życia.

W pamiętniku swym wydanym krótko przed śmiercią a zatytułowanym „Stacje mojej pielgrzymki życiowej“ *(Stationen meiner Lebenspilgerschaft)*, wspomina Hamerling pomiędzy kobietami ku którym czuł więcej niż zwykłą sympatję, pewną rodaczkę naszą, Jadwigę. Dyskrecja nakazała mu oczywiście zachować jej nazwisko w tajemnicy, a my nie jesteśmy w stanie zasłony tej uchylić.

Zanim bliżej wejrzymy w stosunek Hamerlinga do owej Jadwigi, nadmienić jeszcze wypada, że co do wrażliwości serca na wdzięki kobiece, nie ustępuje on miejsca innym poetom. Była to natura wysoce sensytywna; jedno spojrzenie pięknych oczu niewieścich wystarczało, aby rozniecić w tkliwym pieśniarzu żar uczuć... Chcieliśmy już dopisać „namiętnych“; ale to właśnie jeden z charakterystycznych rysów Hamerlinga, że afekta swoje trzymał zwykle na krótkim pasku platonizmu. Czasami wprawdzie popuszczał im lejców, atoli brak odwagi obracał w niwec piękne zamiary. Bywało znowu i tak, że los wydzierał mu przedmiot miłości w chwili właśnie, kiedy kochanek cieszył się już nadzieją osiągnięcia sukcesów na tej wdzięcznej niwie. Tak musiało być snać i z ową Jadwiga, bo oto, co o niej opowiada jej wielbiciel.

Działo się w listopadzie i grudniu r. 1850. Poeta był wówczas jeszcze młodzieniaszkiem, liczył zaledwie 20 lat życia.

„Jadwiga, pisze on, jaśniała prawdziwie klasyczną urodą. Niemieczczyzną władała wprawdzie dość dobrze w mowie, jednakowoż w pismie brak jej było wprawy. Ofiarowałem uroczej damie bezinteresowną pomoc celem zapełnienia tej luki w jej bardzo rozległem zresztą wykształceniu. Jadwiga miała zwłaszcza oczy i ręce przecudne. Te ręce uważałem za najpiękniejsze w świecie, dopóki nie znałem rąk arfinistki, Marji Mösner. Co do towarzyskiego stanowiska Jadwigi, tyle tylko nadmienić mogę, że obracała się ona wprawdzie w kołach arystokratycznych, sama jednak nie należała do arystokracji. Zdaje mi się, że gdyby znajomość nasza trwała dłużej, byłaby mnie ogarnęła gorąca miłość. Siadywaliśmy zwykle w pobliżu pieca, co oczywiście podnosiło temperaturę mego uczucia. Wychodziłem od Jadwigi zawsze rozpłomieniony. Kto wie też, do jakiego stopnia Réaumura doszłaby była temperatura naszego stosunku, gdyby młoda Polka nie ujrzała się zmuszoną wyjechać nagle, Bóg wie, dokąd. Przyrzekła wprawdzie pisać do mnie, ale do tej chwili (r. 1889) nie dała nic słyszeć o sobie. Nie chcę wdawać się w szczegóły; muszę jednak wyznać, że gdybym dziś jeszcze miał wybierać między bogdankami mej młodości, to wybór mój wahałby się tylko pomiędzy dwiema. Pierwszej nie wymieniam, drugą byłaby Jadwiga.“

Słowa te potwiedzają jednym dowodem więcej słuszność słów ks. Bismarka, który obwinia nasze Polki o to, iż są najgroźniejszym rozsadnikiem polonizmu. Na niemieckich poetach sprawdza się wpływ Polek bardzo wybitnie: dość wspomnieć tylko o Göthem, którego one (Szymanowska i inne) oczarowały i to w wieku niezbyt skłonnym do podobnych uniesień. Hamerling doświadczył tego samego losu, dzięki owej tajemniczej Jadwidze.

Nie tak daleko w przeszłość sięga inna, a nas specjalnie bardzo zajmująca znajomość Hamerlinga. Około r. 1850 poznał on Edwarda Hamerskiego, piastującego dziś posadę dyrektora gimnazjum niemieckiego we Lwowie. „Serdeczna, pisze poeta, na szacunku i głębokiej sympatji oparta przyjaźń złączyła mnie na lat kilka z Edwardem Hamerskim, młodym Polakiem z Galicji, który kolegował ze mną w seminarjum historycznemi przygotowywał się do egzaminu nauczycielskiego dla gimnazjów. Nie było pomiędzy nami wspólności aspiracyj poetycznych, ale idealna i uczuciowa natura tego młodzieńca, uczyniła, że przylgnąłem doń całem sercem i że nas złączył węzeł przyjaźni, o której mile dotąd wspominam“.

Notatka ta wymaga pewnego wyjaśnienia. P. Hamerski urodził się nie w Galicji, jeno na Morawie, lecz dziad jego był Polakiem i stąd prawdopodobnie uważał Hamerling młodego Edwarda za Polaka z Galicji.

Nakoniec jeszcze jeden szczegół. Osławiony Sacher Masoch nie jest wprawdzie naszym kompatrjotą, ale nazwisko jego związało się poniekąd z Polakami, przeciw którym tyle potwornych skierował fałszów i obelg. Hamerling poznał tego pana w r. 1862 w zdrojowisku Tobel Vad, w którem szukał ulgi na swe chroniczne cierpienie żołądka.

„Sacher Masoch, czytamy w zapiskach poety, tak znienawidzony obecnie w Niemczech, ogłosił był właśnie pierwszą swą powieść „*Eine Galizische Geschichte*“. Młody, przystojny, umiał się podobać. Z prawdziwie polską, czy też — aby go nie martwić, — małoruską (?) rycerskością i zwinnością łączył on dar wymowy. Zaraz po zawarciu znajomości przystąpił tedy do zwierzeń bardzo delikatnych i z własnych jego

ust dowiedziałem się o tem, o czem zresztą w Gracu wszyscy wiedzieli. Wówczas to w rzeczywistości toczył się romans, na którego tle osnuł Sacher-Masoch później swą powieść *Geschiedene Frau*, przyczem wyszła na jaw nadzwyczajna jego otwartość, odsłaniająca ogółowi czytelników najskrytsze tajniki autora... Sacher-Masoch układał bardzo śmiałe plany. Często mawiał mi, że zamierza dać się (?) wybrać w swej ojczyźnie, w Galicji na posła do Rady Państwa, a to jedynie dla tego, aby agitować za wydaniem nowej ustawy o małżeństwach, a przez to umożliwić legalny rozwód swej ukochanej, którą później, ale też nielegalnie pozyskał“...

Czy nie wyjaśnia to przypadkiem zródła animozji Sacher-Masocha przeciw „ojczyźnie“? Kto wie, czy byłby on Galicję tak oczerniał, gdyby „dał się wybrać“ tu na posła i gdyby dla jego wygody obalił parlament nietykalną instytucję małżeństwa?

St. R.

SĄSIADKA.

(Z cyklu „Młode małżeństwo“)

Młodości, wszędzie ci i wciąż
Za cudem idzie cud, jak z płatka...
Dla ciebie jadu nie ma wąż,
Róża swym cierniem cię nie kole —
Dla ciebie zawsze aureolę
Mityczną prawie ma sąsiadka...

Lecz na nieszczęście rychło dość
Twój pierwszy piękny sen uchodzi...
Zabraną z żebra swego kość
Prędzej, czy później człek odszuka;
W sercu zarełnia mu się luka
I oto nowi „państwo młodzi“.

Za sąsiadkami wówczas już
Myśl się z tęsknotą nie rozbija,
Lecz właśnie wtedy ani rusz
Ujść ci przed niemi, bo przypadek
Zsyła zazwyczaj dość sąsiadek,
Niejedna z nich zaś jest... jak żmija.

Zbyt ostry może o tem sąd,
Twierdzenie może zbyt zuchwałem...
Lecz nie popadłem pewnie w błąd.
Niezbite poprą mnie dowody:
I jam też kiedyś był „pan młody,“
I ja sąsiadkę także miałem!

Ach, demoniczna postać jej
W śnie dziś mnie trwoży nieraz jeszcze
I oburzeniem pierś mi drga,
A potem obaw wstaje dużo...
Bo czyż dobrego co wywróżą
Takie szkaradne sny złowieszcze?

Na głowie płowych włosów splot,
(Zawsze w nieładzie, rozburzone,)
Usta szerokie, oczy — oł, —
Oczy, co służą do patrzania;
Tors w końcu — jestem tego zdania —
Zbyt pełny nawet na Junonę.

Mąż zbyt się nie naprzykrzał jej...
Nos jego — maku krwawy kwiatek,
Rzadko tu błyskał... W domu rej
Wodziła tedy pani sama,
A Bóg Izaka, Abrahama,
Uwieńczył ją pięciorgiem dziatek.

Ale dla matki źródłem trosk
Nie były one... W tej kobiecie
Serce mieściło się, jak wosk
Miękie na losy obcych ludzi...
Choć jej nie ziębi to, ni studzi,
Wszystkoby rada wiedzieć przecie.

Więc z sługą rozpoczęła wprzód
Konszachty jakieś pokryjomu...
Lecz sługa — pod tym względem cud —
Skąpą bywała w odpowiedzi..
Próżno ciekawska z nią się biedzi:
— „A co? A jak tam u was w domu?“

I dalej indagację swą
Ciągnąc, pospiesznie, cicho pyta:
— „Cóż? Dobrze jedzą? Długo śpią?
A czy się czasem nie pochmurzą?
A pan czy pensję bierze dużą?
A jak ci płacą? A czyś syta?“

Widząc, że próżny wszelki trud,
Że sługa jak zaklęta milczy,
Zręcznie i szybko, niby z nut
Nowy odmienny plan wygrywa
— Wszak musi uspić pani tkliwa
Tej ciekawości swej głód wilczy.

Raz — właśnie gotów obiad nasz —
Bachorek się do kuchni toczy;
Sukienka brudna, brudna twarz,
Widno: sterane to, jak szczenię,
Lecz bezustanku, niestrudzenie
Biegną na zwiady drobne oczy.

Pretekst rzecz łatwa, gdy się chce...
„Zapałek — soli — octu nieco
Dla mamy...!“ Jak odmówić? Fe!
Lecz któż-bo znowu nie odgadnie,
Co w owym occie pływa na dnie
I czem zapałki owe świecą?

Najtrudniej pierwszy zrobić krok,
Idzie się potem dalej gładko...
Odtąd od rana aż po mrok,
A czasem później nawet jeszcze
Brała nas ta ciekawość w kleszcze
— Życie obmierzło mi z sąsiadką.

Na kuraż wziąwszy w końcu raz,
Krótko pozbyłem się natręta...
Zkąd prawo wciąż szpiegować nas?
Miałżem się! Sąsiadeczka miła,
Gdy swój języczek rozpuściła,
Niczem przekupki argumenta.

Więc dla spokoju musiał człek
Siedziby przeprowadzić zmianę,
Bo tam .. tam jeszcze by się wściekł!
A szkoda! miłe było gniazdo!
Pod najszczęśliwszą nawet gwiazdą
Równie miłego nie dostanę...

St. Ross.

Jabłuszka zielone.

(OBRAZEK)

Noc była tak ciemna, że ani jednej gwiazdki, ani jednego punktu jasnego na niebie widać nie było, że granica pomiędzy ziemią a sklepieniem niebieskiem, przestała się całkiem znaczyć na widnokręgu; nawet smugi lasów ciemnych, zwykle widoczne, nie były czarniejsze od reszty świata, zlane z nim w jedną otchań ciemności.

Zdaje się, że w noc taką nawet matka — ziemia zabłądzić mogłaby w swoim biegu i gdzieś w przestworzu o sąsiednią gwiazdę uderzyć... Ale gdzie tam!...

Nietylko ona snuła się jak dawniej, wiedząc dokąd dąży, lecz gdzieś po jej północnej skorupie szumiał pociąg, biegnąc z szaloną szybkością, świecąc z przodu jak wilk, dwoma śle

piami, świszcząc, dymiąc, wyrzucając z siebie snopy iskier czerwonych i drwiąc nie tylko z ciemnicy, ale z zimnego wichru, przenikliwym deszczem napojonego...

Taka noc jest może patronką zbrodni, uczuć występnych może, usposabia pewnie do bolesnych wspomnień, a wrażliwe dusze skłania do cichych tajemniczych zwierzeń... A pociąg szumiał i biegł dalej...

W przedziale „dla dam“ jedna tylko znajdowała się kobieta. Rzucona niedbale na siedzeniu, prawą rękę podłożyła pod głowę, lewą opuściła na dół i leżała tak bez ruchu, bez najmniejszego znaku życia, iż na pierwszy rzut oka sądziłbyś, że śpi. Dopiero wpatrzywszy się, ujrzałbyś przy niepewnem, niespokojnem świetle dwóch lamp przyćmionych, że ta kobieta bez ruchu i czucia na pozór, miała oczy jasne, szeroko otwarte, któremi bez drgnienia źrenicy patrzyła gdzieś w dal bardzo, bardzo odległą, zdając się wzrokiem przebijać nieprzejrzane ciemności królestwo, obejmujące świat cały jakoby pierścieniem żałobnym...

Smukła, wytworna postać kobiety znaczyła się poprawnym rysunkiem na czerwonem tle siedzenia, odbijając odeń szarym, eleganckim płaszczem podróżnym, który nie zdołał całkiem utaić kształtnej choć wiotkiej kibici. Na śliczne białe czoło spadały z pod małego kapelusika ciemno blond włosy, a piękny z lekka zakrzywiony nosek z rozdętemi troszkę nozdrzami i małe ale wydatne usta, dopełniały całości, interesującej a dystyngowanej zarazem. Wszystko to wraz ze szczegółami ubrania i podróżnych przyborów, cechowało od razu kobietę znajlepszego towarzystwa, światową a przyzwoitą...

Oczy tylko dziwne były. Jasne i piękne, miały jakiś połysk szklisty, a wyraz zmęczenia i smutku zarazem. Zrenica utkwiona w jeden punkt, dla niej tylko widzialny, rzucała niekiedy błysk fosforyczny i mieniła się jakby myśl odbijając, niespokojna a trwożliwa.

Właścicielkę oczu pięknych choć smutnych, zdawało nie obchodzić nic co się naokoło niej działo. Nie zważała na ciemność straszliwą, nie widziała drgania świateł w wagonie, odbijających się w czarnych szybach, w które siekł deszcz, wygrywając na nich dyszkantem tony fałszywe, nie czuła ruchu pociągu, nie słyszała świstu lokomotywy, nie zwracała uwagi na miljony iskierek, przelatujących za oknem, ani na mgliste światełka domków dróżniczych, jedyne oznaki, że poza pociągiem istnieje życie na ogarniętej ciemnym mrokiem ziemi. Trwało to tak bardzo długo; może godzinkę, może dwie... może dłużej.

Po raz dziesiąty lokomotywa wydała świst przeciągły, pociąg zaczął się chwiać i skrzypnąwszy niemile, zatrzymał się przed stacją.

Chwilę było cicho. Następnie dał się słyszeć ruch na korytarzyku wagonu. Potem drzwi od przedziału damskiego się otworzyły, najpierw wszedł lokaj w przemokłej liberji, postawił walizkę małą u góry, na siedzeniu położył dwa zawiniątka torebkę, szal i kosz podróżny, potem wyszedł przytrzymując drzwi, przez które szybko i ze stanowczością w ruchach weszła druga kobieta w ciemnym płaszczu, zasłonięta szczelnie na twarzy i na pół do drzwi zwrócona, rzekła: już wszystko?

— Wszystko — odpowiedział lokaj, zamknął drzwi na skinienie pani i poszedł sobie.

Nowo przybyła, zanim usiadła, spojrzała na walizkę u góry, policzyła wzrokiem dwa zawiniątka, torebkę, szal i koc podróżny, a znalazłszy wszystko w porządku, zajęła miejsce i zaczęła uwalniać głowę z nieprzejrzystej zasłony.

Przez ten czas druga kobieta nie zmieniła wcale pozcji. Tylko brwi ściągnięte zdawały się świadczyć, że jej ten napad nie jest miłym. Wzrok przestał patrzeć gdzieś w dal tajemniczą, a zwrócony ku przybyłej, zadawał jakby nieme pytanie, dlaczego przerwano dumania, smutne ale samotne...

W miarę przecież, jak nowo przybyła, odsłaniała coraz więcej twarz z krępujących ją więzów, właścicielka smutnych oczu zaczęła jej się coraz pilniej przypatrywać, prostując się powoli na siedzeniu. Kiedy zaś zasłona całkiem z twarzy opadła, obie kobiety stanęły nagle na równe nogi przed sobą i wykrzyknęły prawie równocześnie:

— Marynia!...

— Janinka!...

Zaraz potem padły sobie w objęcia i trzymały się tak długo w serdecznym, przeciągłym uścisku. W pocałunku tym musiało być wspomnienie lat najmłodszych, złudzeń pierwszych i snów panieńskich razem snionych, bo kiedy się rozdzieliły, miały obydwie oczy wilgotne i wyraz prawie szczęścia na twarzy... Usiadły na przeciw siebie, trzymając się za ręce i w oczy sobie patrząc. Siedziały tak czas pewien; nareszcie rzekła blondynka ze szklistemi oczyma:

— Jak ty, Janinko, nic a nic się nie zmieniłaś! Te same oczy, wielkie czarne, a takie spokojne a takie rozsądne jak dawniej. Ta sama łagodność wyrazu twarzy, usta prawie dziecinnym uśmiechem rozchylone, czoło ani jedną nie zaćmione chmurka, gładkie, jasne... Pewnieś szczęśliwa! Tylko może troszkę, troszeczkę utyłaś.

Janina uśmiechnęła się, a w uśmiechu odsłoniła dwa rzędy zębów jak perły i rzekła:

— Co tobie, Maryniu, o mojej piękności mówić. Patrzę na ciebie i po sześciu latach niewidzenia zdajesz mi się piękniejszą niż kiedykolwiek. Masz w sobie coś, jakby nie tej ziemi, jakby Elsinoe złączyła się Francescą. Śliczną jesteś jednem słowem i taka interesującą przytem, jak sen, jak marzenie... Pamiętasz co nam mówił przed laty ten podszarzały adonis, pan Edward, że ze mną powinien każdy chcieć się żenić, ale, za tobą jeśli zechcesz, zwarjuje każdy... To była prawda... Tylko słuchaj. Błękit twoich oczu, trochę... troszeczkę zbladł i masz wzrok jaśniejszy, szklisty jakiś. Posmutniały oczy twoje Maryniu moja. Czemu to?...

(Dokończenie nastąpi)